

Powitanie słońca w Budnikach (2014)



Uczestnicy „Powitania Słońca” w Budnikach. Foto: Krzysztof Tęcza

Mamy XVII wiek, w roku 1618 wybuchła wojna zwana później trzydziestoletnią. Wynika to z faktu, iż trwała właśnie trzydzieści lat. To spory kawał czasu. Porównywany do życia ludzkiego to ponad jedno pokolenie. Nic więc dziwnego, że gdy barbarzyństwa związane z okresem wojennym sprykrzyły się mieszkańcom podgórskich miejscowości zaczęli oni uciekać w góry. Karkonosze w ówczesnym czasie nie były ani tak znane ani dostępne jak dzisiaj. Tylko nieliczni znali ich tajemnice. Dlatego ci, którzy uciekali tutaj przed okropnościami wojny, chronili się wysoko, prawie pod samym Kowarskim Grzbietem. Zapewniało im to pewne bezpieczeństwo. Najeźdźcy, z reguły nie zapuszczali się w nieznaną a napawającą ich lękiem dzikie ostępy. Dzięki temu można tutaj było żyć nieniekajonym przez innych. Nic zatem dziwnego, że ci którzy zdecydowali się tu przybyć po pewnym czasie dosyć mieli tymczasowych szałasów i ziemianek. Dosyć mieli życia w tak złych warunkach. Decydowali się wtedy na budowę trwalszych obiektów. I tak oto zaczęły powstawać tutaj pierwsze domy. Z czasem były one rozbudowywane, ich rozmiary zatem były coraz większe. Dlatego mogło w nich mieszkać coraz więcej osób. Nie było to bez znaczenia jeśli wziąć pod uwagę fakt przychodzenia na świat nowych obywateli. Wszak pojawianie się dzieci to naturalna kolej rzeczy gdy tworzy się rodziny. Niestety warunki klimatyczne tu panujące dawały się mocno we znaki nowym mieszkańcom. W zasadzie nie było żadnych możliwości zarobkowania. Ludzie ci w większości zajmowali się hodowlą bydła, pracą w lesie czy też kłusownictwem. Bardziej obeznani z terenem zajmowali się przemysłem. Miało to jednak miejsce znacznie później i związane było z ustanowieniem nowego przebiegu granicy państwowej. Procefer ten, zapoczątkowany w XVIII wieku, znacznie nasilił się w latach następnych, by na początku XIX wieku osiągnąć swoje apogeum. Ze względu na towar jaki przemycało przez Karkonosze z Austrii do Prus czyli tytoń i tabakę, droga wiodąca nieopodal osady nazwana została *Tabaczaną Ścieżką*.

Miejsce, w którym osiedlili się uciekinierzy, przede wszystkim z pobliskich Kowar, pierwotnie nazwano Leśne Budy. Później mówiono o nim Leśny Długi Strumień, gdyż przepływający tędy potok

tak właśnie się nazywał. A, że był ukryty w gęstym lesie... Obecna nazwa strumienia to Malina. Osada po 1945 roku była nazywana Leśnym Zaciszem lub po prostu Zaciszem. Od 13 maja 1949 roku oficjalna nazwa tego miejsca to Budniki. W swojej kilkunastuletniej historii Budniki nigdy nie miały zbyt dużo mieszkańców. Najwyżej kilkudziesięciu. Samych domów było zaledwie kilkanaście. Z czasem jednak powstała tu szkoła. Co prawda budynek ten wykorzystywany był także do celów noclegowych, nie ma co się jednak temu dziwić. Dzieci było niewiele a z upływem czasu w Karkonoszach zaczęła rozwijać się turystyka. Dlatego też powstała tu także prawdziwa gospoda mogąca przemocować prawie dwadzieścia osób jednocześnie. Później jeszcze jedna.

W okresie po II wojnie światowej osada, właśnie ze względu na swoje położenie, stała się najpierw miejscem ukrywania dla niedobitków niemieckiego wojska, później dotarli tu wszechobecni szabrownicy, a gdy nie było tu już czego kraść w domach tych zamieszkiwali drwale pracujący w okolicy. Przez pewien czas w Budnikach działał Ośrodek Wypoczynkowy Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Niestety na początku lat pięćdziesiątych XX stulecia rozpoczęto tu tak jak i w całym regionie prace mające na celu znalezienie rud uranu. Ze względu na to nielicznych mieszkańców wysiedlono i miejscowość ta zniknęła nie tylko z mapy ale przestała istnieć w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dzisiaj możemy tutaj zobaczyć tylko resztki fundamentów poszczególnych budynków.



Autor w towarzystwie kucharzy: Zyg i Józefa. Foto: Krzysztof Tęcza

Dla nas dzisiaj najważniejszą sprawą związaną z tym miejscem jest fakt niedocierania tutaj w okresie zimowym promieni słonecznych. Dla dawnych mieszkańców Budnik było to pewnie sporym utrapieniem. Dla nas jest to powód do świętowania. Od kilku lat, gdy w roku 2010 powstało Towarzystwo Miłośników Budnik, podejmowane są prace nie tylko przy zbieraniu wszelkiej zachowanej dokumentacji, pamiątek czy zdjęć i pocztówek ale także prowadzone są działania mające na celu ożywienie tego miejsca. Wynikiem tych starań są m. in. oznakowanie miejsc, w których istniały dawniej zabudowania. Ważnym wydarzeniem była budowa wiaty nad Maliną. To właśnie dzięki temu możemy teraz spotykać się w tym zacisznym miejscu by witać lub żegnać słońce, które nie zagląda tutaj przez 113 dni w roku. Żegnamy je pod koniec listopada a witamy w połowie marca.



Wreszcie na miejscu. Foto: Krzysztof Tęcza

W dniu dzisiejszym czyli 15 marca 2014 roku w Budnikach zorganizowano spotkanie na powitanie słońca, które po zimowej przerwie ponownie oświetli i ogrzeje swoimi promieniami przebywających tu turystów. W zorganizowanie imprezy zaangażowały się: Urząd Miasta Karpacz, Towarzystwo Miłośników Karpacza i Towarzystwo Miłośników Budnik. Zaplanowano wyjście turystów zarówno z Karpacza jak i z Kowar. W Karpaczu chętni spotykają się przy DW Krucze Skały a w Kowarach przy CUMiPZ Przedwiośnie. Ponieważ nie można być jednocześnie w obu miejscach naraz, chociaż mieszkający kiedyś w pobliżu Hans Rischmann to potrafił, ja wybrałem się do Kowar. By nie iść samemu zawiadomiłem innych turystów o planowanej wycieczce. Co prawda wcale nie byłem pewny czy, ze względu na załamanie pogody jakie właśnie miało miejsce, ktoś się zjawi, nie było to jednak dla mnie specjalnym problemem. Na miejscu zbiórki czekały już dwie osoby. Cały czas siąpił drobny deszczyk. Mimo to, chociaż z lekkim opóźnieniem, pojawiły się trzy panie, jak się okazało w odpowiedzi na moje zaproszenie. Dzięki temu ruszyliśmy w grupie. Po minięciu leśniczówki Jedlinki pogoda ustabilizowała się na tyle, że mogliśmy pozdejmować ciepłe dodatki. Zostaliśmy praktycznie w ubrankach przeciwdeszczowych. Trzeba przyznać, że nieco się spociliśmy. Dalej nie powinno być problemów. Droga aż do ujęcia wody na potoku Malina jest bardzo wygodna. Dopiero tam zaczyna się prawdziwa wspinaczka. Ale to tylko niewielki kawałek. Idący przodem krzyczą po chwili, że widzą dym. Oznacza to tylko jedno. Organizatorzy zadbali by zanim przyjdą turyści płonęło już ognisko i by mogli oni zagrzać się przy nim. To wspaniała nowina. Gdy dochodzimy do świeżo postawionej drewnianej wiaty zajmujemy jeden stół i rozkładamy przyniesione z sobą wiktuały. Zaraz pieczemy kiełbaski i ogrzani przy ogniu posilamy się niespiesznie. Sąsiedzi częstują nas wysmienitym smalcem ze skwarkami. Dawno już nie jedliśmy takiego dobrego wyrobu. Trzeba wiedzieć, że zrobić dobry smalec wcale nie jest tak łatwo.



Nasi gospodarze. Foto: Krzysztof Tęcza

Niebo, które do tej pory płakało, że nad Budniki ponownie zawita słońce, uspokoiło się na chwilę. Pozwoliło to nam na zrobienie pamiątkowego zdjęcia rodzinnego pod okolicznościowym banerem. Na dobry początek dwaj prawdziwi kucharze, Zyga i Józek, poczęstowali wszystkich zagrzaną w wielkim kotle powieszonym nad ogniskiem prawdziwą kwaśnicą. Była bardzo dobra. Później skosztowaliśmy herbaty z Maliny! Każdy zastanawiał się czy jest ona zrobiona z maliny czy z Maliny. Jaka to różnica zapyta ktoś niezorientowany. Ano wielka. Bo z maliny czyli z owoców jest słodziutka a z Maliny czyli z wody zaczerpniętej z płynącego tu potoku o tej właśnie nazwie jest czyściutka. W tym wypadku była zarazem czysta jak i słodka.

Pięknie spisali się strażacy, którzy jako fachowcy rozpalili ogniska. Poza tym cały czas mieli oni baczenie by ogień był na swoim miejscu. Nie radzili sobie tylko z utrzymaniem w ryzach dymu, który od czasu do czasu wyciskał łzy z naszych oczu. Ale to nic. Kucharze co chwilę przypominali, że kotłowi jest jeszcze pełen i dolewali nam kwaśnicę przynoszoną w wielkich chochlach. Obsługa na bardzo wysokim poziomie. Co najmniej 900 metrów nad poziomem morza.

W grupie przybyłej z Karpacza widzimy kilka osób ubranych w stroje w jakich chodzili mieszkający tu dawniej ludzie. Wśród nich Krzysztof i Paweł. To właśnie od nich usłyszeliśmy o legendarnym strażniku, który w imieniu Liczyrzepy strzegł to miejsce. Był nim Wołogór. Po tylu przyjemnych chwilach ostudzono nam pobyt częstując smacznymi babeczkami i rogalikami z makiem. Słodkości te upiekła dla wszystkich Lila. I niech kto powie, że teściowe są niepotrzebne!



Krzysztof zapala światełko zastępcze. Foto: Krzysztof Tęcza

Wreszcie nadszedł najważniejszy dla wszystkich moment. Ponieważ nie było pewne czy przy takiej pogodzie słońko dotrze do nas Krzysztof przygotował światełko zastępcze. Zapalił je w powieszanej lampie naftowej. Jednak gdy podkręcał płomień nastąpiło coś nieoczekiwanego, choć było to to po co tutaj przyszliśmy. Nagle chmury rozeszły się i wyjrzało słońce. Zrobiło się widno i przez krótką co prawda chwilę poczuliśmy ciepłe promienie omiatające nasze twarze. Lepiej nie mogło się przydarzyć. Od razu wszystkim poprawił się humor. Wkrótce jednak nadszedł koniec zabawy. Trzeba było wracać do domów. Zwłaszcza, że w jednej z przybyłych grup było sporo dzieci, a przy takiej pogodzie zmierzch na pewno zapadnie szybko.

Krzysztof Tęcza